



KAROLINA

KASPRZAK-DIETRICH

Niewierność

TRUCICIEL 2

Karolina Kasprzak-Dietrich

Truciciel

tom 2

Niewierność

© Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich

Okładka: Katarzyna Krzan

Korekta: Dominika Kamyszek - Opiekunka słowa

ISBN: 978-83-954942-4-6

Wydawca: Karolina Kasprzak-Dietrich



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2025



Tę książkę dedykuję mężowi.

Dziękuję Ci, że mnie wspierasz w tej pisarskiej podróży.

Prolog

Niebo już od paru godzin pokrywała czarna kotara smutku, choć delikatna łuna księżycowego światła rozświetlała skłębione skupisko drzew na horyzoncie. Tak-sówkarz zmierzał właśnie tam, tam był jego azyl, jego port. Spoglądał raz na wiotkie ciało kobiety, a raz na oddalony o paręset metrów punkt na horyzoncie. Widząc koniec asfaltowej drogi, nadusił hamulec z taką siłą, że głowa nieprzytomnej dziewczyny oderwała się od zagłówka i z impetem uderzyła o deskę rozdzielczą. Kierowca pozostał jednak niewzruszony, wyszedł z samochodu z gracją i podszedł do bagażnika. Przez ogromne, ciężkie i równie czarne jak niebo chmury przebijały się srebrzyste promienie księżycy, które rozjaśniały mu drogę. Jego krok był hardy, a spojrzenie pewne.

Wiosna tego roku, choć nic na to nie wskazywało, okazała się bardziej łaskawa niż zeszłoroczna jesień, ponieważ od wielu tygodni ciągle padał deszcz, gruba warstwa ziemi przesiąknięta była wodą, ale i tak długotrwała jesienna susza zdążyła zrobić wiele szkód. Wysoki mężczyzna za bardzo się tym nie przejmował, gdyż wszystko, co posiadał, oddawał naturze i tylko w niej pokładał nadzieję. Uważał, że przyroda musi bronić się sama, a słabszy prędzej czy później musi zginąć, tak ja ta kobieta, która swoją rozwiązłością sama prosiła się o tę podróż. Zacisnął na jutowej

linie swoją ogromną pięść i pociągnął tak, że usłyszał tylko odgłos łupnięcia – kobieta leżała teraz na ostatnim metrze drogi asfaltowej. Zawiązał ogromny supeł i pociągnął za linę, wsłuchując się w dźwięk, jaki wydawało ciało, ślizgając się już po błotnistej nawierzchni.

Ubrany w wysokie kalosze i płócienną odzież, przemierzał beztrudno bruzdy ziemi, nie omijał napotkanych kałuż, rozbryzgując wodę na boki. Kąciki jego ust unosiły się, tworząc na smutnej twarzy grymas podobny do upiornego uśmiechu. Na nic nie zważał, chciał jak najszybciej dotrzeć do swojego gospodarstwa, by zaopiekować się nową rybą, jak nazywał większość złowionych dziewczyn. Szedł nieustrudzenie, jakby nie odczuwał ciągniętego ciężaru, pewien swoich zamiarów i celu. Oddech mieszał się z delikatnym powiewem wiatru, który lekko bił jego spłoszające policzki, po czym uciekał na boki, jakby i on bał się tego, co może się za moment wydarzyć. Mężczyźni nieczęsto udawało się zaspokoić swoje rządze bez większych wyrzutów sumienia, bo jednak i on je miewał. Tym razem los sam podał mu na tacy to biedne, zagubione dziewczę, które jego babcia zapewne nazwałaby grzesznicą. Grzesznice są złe i muszą dostać karę, to piekielne moce i szatańskie nasienie, którego nawet nawrócenie nie naprawi.

Taszcząc za sobą blade, prawie już sztywne ciało, z każdym krokiem pozostawiał za sobą wydrążone w gruncie piętno, jednocześnie pragnąc rozgrzeszyć tę kobietę. Koniec liny, którą kurczowo ściskał w pięści, zawiązany był wokół nagich kostek, które wcale nie były mu już

takie obce. Przystanął na moment, przyglądając się swojej rybie.

Stopy dziewczyny były przekrwione, a cipka drobna i lekko niedogolona. Ciało pokryte było błotem, a twarz już ledwo dostrzegalna, gdyż splątane i brudne włosy częściowo ją przykryły.

– Moja ryba... – wyszeptał i ruszył, by za moment móc zacząć cieszyć się zdobyczą.

Plecy dziewczyny szorowały po mokrej ziemi, wydrążając rów, który od razu wypełniał się wodą. Mężczyzna przystanął kolejny raz, przecierając pot z czoła. Spojrzał z udręką najpierw na żałobne niebo, a potem zmierzył wzrokiem całe jej ciało, w tym również spore, jak na jej gabaryty, piersi.

Uśmiechnął się, ale nie analizował, znowu ruszył, zanurzając stopy w mętnej brei, nie czuł zmęczenia, a ciało włókł tak, jakby ważyło zaledwie kilka gramów. Podążał przed siebie, kierując się na czarne cienie chudych drzew z niekrytą euforią, że za moment doczeka się spełnienia. Znajdowali się w bezpiecznej odległości od szosy, a wokół rozciągała się jego ukochana głusza.

W końcu z ciemności zaczęły się wyłaniać znajome kształty. Spojrzawszy na zbite z cienkich dech drzwi sto- doły, ciężko odsapnął z wyraźną ulgą. Kopnął we wrota, a one otworzyły się z hukiem. W środku też panowała nieprzenikniona ciemność. Mężczyzna, spoglądając na swoją ofiarę i upewniając się, że leki, które podał jej przed godziną, jeszcze działają, upuścił trzymany koniec jutowej

liny i zaczął rozcierać swoje obolałe dłonie, przygotowując się do prawdziwej batalii. Następnie podszedł do pordzewiałej wywrotki, na której ułożone równiutko w rzędzie było z pięć ogromnych balotów słomy. Zaparł się z całej siły i zaczął przepychać przyczepę w stronę wejścia. Po pierwsze – chciał odsłonić właz, po drugie – zabarykadować wejście, by nikt nie mógł mu przeszkodzić... ani uciec. Choć dla przeciętnego człowieka wydawało się to niemożliwe, on poradził sobie bez problemu. Chwyciwszy zmiotkę, oczyścił skrawek betonowej podłogi, tym samym uwidaczniając metalową pokrywę. Szarpnął w górę za metalowy uchwyt, a ujrzawszy zionący w podłódze czarny otwór, wyjął z kieszeni zapalniczkę, by oświetlić sobie wejście. Powtórnie chwycił linę i zaczął wlec swoją zdobycz po schodach w dół. Gdy jej głowa uderzyła o pierwszy stopień, opamiętał się, bo chciał poznać grzesznicę nieco bliżej, więc po krótkiej refleksji podniósł jej bezwładne ciało. W ciemności, bo przecież nie miał już możliwości trzymać w ręku zapalniczki, zszedł na dół, do jeszcze innego pomieszczenia, które wyglądało jak sala szpitalna. Było niebywale sterylne i minimalistyczne, o powierzchni zaledwie kilku metrów kwadratowych. Mężczyzna ułożył grzesznicę na niewielkim, białym materacu leżącym w kącie pokoju, po czym zapalił wiszącą u sufitu gołą żarówkę.

– Nie wiem do końca, czy tutaj pasujesz, jesteś mało higieniczna! – oznajmił. – Muszę cię obmyć, bo inaczej ciężko będzie o rozgrzeszenie – kontynuował swój chory wywód. – Bóg nigdy ci tego nie wybaczy – dodał, a jego słowa odbijały się echem od gołych betonowych ścian.

Szybkim ruchem rozwiązał sznur oplatający stopy dziewczyny. Te były sine i poranione aż do kości, które wydawały się nie białe, a brudne od błota, czarne jak noc. Spoglądając na nią zarówno z nienawiścią, jak i apetytem, położył się tuż obok, po czym zaczął obwąchiwać jej zabrudzoną szyję niczym szczur badający swój łup. Mimo przejść pachniała kobieco, co spowodowało, że mężczyzna bardzo się rozczulił, a w kącikach jego oczu pojawiły się łzy. Nie potrafił już zapanować nad penisem, który zrobił się jak ze stali. Jego ręka odruchowo powędrowała w dół, próbował zsynchronizować własny oddech z jej.

– Mam swoją uległą! – mruknął.

Po tych słowach mimowolnie ścisnął mosznę tak mocno, aż go zabolalo, a drugą dłońią powędrował pomiędzy jej uda, lekko je rozchyliwszy. Powieki dziewczyny zadrgały, a ona wydała z siebie stłumiony dźwięk, więc bardzo szybko cofnął rękę. Nie chciał jej budzić, uważał, że musi dać sobie czas, by wszystko należycie przygotować. Gdy odgarnął ubłocone kosmyki z jej bladej twarzy, dojrzał przepiękne, wydatne i różane usta. Były lekko rozchylone, ukazując rząd bielusich zębów. Nachylił się i przejechał po tych ustach językiem, poczuł słodczy, a najbardziej spodobało mu się to, że dziewczyna rozchyliła wargi jeszcze bardziej i niewyraźnie wypowiedziała męskie imię, a jej suchy język próbował się wynurzyć, szukając źródła wilgoci. Próbował je nawilżyć, oblizując dookoła, muskając i wkładając język coraz głębiej w jej usta. Nie rozumiał dlaczego, ale nagle poczuł się jej niegodny. Dlatego

zaciskając rękę na jej bladym łokciu i wgniatając ją w materac, wysapał:

– Jesteś grzesznicą!

Tym samym zakończył ten zmysłowy i subtelny zabieg poznawania jej ciała, które nadal pozostawało w bezruchu. Wstał nagle, gdy z zaskoczeniem zauważył, że jej powieki drgają i lekko się unoszą.

Mężczyzna w pierwszym panicznym odruchu odwrócił się twarzą w stronę ściany, jakby chciał się ukryć. Nie przewidział tego, iż ta piękność, którą wioził taksówką i której obiecał nieco odpoczynku, obudzi się tak wcześnie. To nie tak miało się potoczyć, jeszcze nie był na to gotowy.

– Gdzie ja jestem? – zapytała dziewczyna ze strachem w zachrypniętym głosie, krzywiąc twarz w bolesnym grymasie. – Co się tutaj dzieje? Oj... Jak mnie boli...

Na tego rodzaju pytania nie był przygotowany, przeszył go spazm niepokoju.

Wojtek

– I kto by pomyślał? – marudziłem pod nosem.

Byłem wkurzony, bo przecież ten covid to jakiś kataklizm. Próbowiałem włożyć w dresowe spodnie moro nogi, teraz opasłe, już nie muskularne jak dawniej. Według Kasandry wyglądałem w tych gaciach jak Ferdek Kiepski, a ja miałem to w dupie i celowo jeszcze nosiłem do nich różową koszulkę. Tylko w tym stroju czułem się dobrze i nic mnie nie uwierało. Powiedzmy, że doszedłem do wniosku, że wygląd to nie wszystko, jak widać, są gorsze nieszczęścia, takie małe gnoje jak covid na przykład. Jak widać, to prawda, że w życiu wszystko się zmienia, a Kasandra coraz częściej podnosiła mi ciśnienie, toteż zacząłem się nieco odklejać od rzeczywistości, zaniedbałem się i – o dziwo – było mi z tym dobrze. Do tego doszły problemy kardiologiczne i w rezultacie to one nie pozwoliły mi pracować jak zawsze na pełnych obrotach. Lekarz powiedział wyraźnie: albo harówka, jak dotąd, albo życie. To oczywiste, że wybrałem to drugie, tylko Kas coś kręciła nosem, jakby nie pasowało jej, że jeszcze żyję! To już nie jest ta skromna, wstydliva dziewczyna, jakby zmieniała się w swoją złą bliźniaczkę, pomiędzy nami coraz częściej iskrzyło, a ona mówiła, że to ja ją zmieniłem.

Oczywiście, że wszystko tłumaczył wszechpotężny, niewidoczny wirus, zabójca, który opanował cały świat,

ale pomimo że Kas w chwilach słabości, bo o dziwo i ona takie miewała, mówiła, że mnie żałuje, to jakoś jej nie wierzyłem, wręcz przeciwnie. Częściej patrzyła na mnie spod byka, syczała pod nosem, słała nienawistne spojżenia, a porządnego seksu nie uprawialiśmy już ho, ho, ho i jeszcze dłużej. A jeśli już miała ochotę, to tylko kiedy była mocno wstawiona, bo odkąd pozamykali nas w domach, to nie wylewała za kołnierz. Potem wymyślała jakieś wariackie pozycje, a mnie się nie chciało – mówiłem jej, że jestem chory, a przede wszystkim za stary na takie ekscesy. Kiedy próbowałem ją zwyczajnie przytulić, by czule się pokochać, to odpychała mnie, mówiąc, że boli ją głowa, ma wzdęcia i w ogóle wymieniała całe mnóstwo infantylnych wymówek. Choć miałem wrażenie, że Kasandra nie życzy mi najlepiej, przystała na moją propozycję i chwilowo wyprowadziliśmy się na wieś, pod Gniezno, a przecież mogła zostać w naszym domu, tym bardziej że pobyt tutaj wyraźnie jej nie służył. Jednak wołała mi towarzyszyć. Czasem odnosiłem wrażenie, że wysyła mi spreczne sygnały.

Nie rozumiałem tego, co się z nią dzieje, jej ciągłej irytacji, byle czym potrafiła się zdenerwować. Nawet ta opatulona w czarne szmaty, zgarbiona staruszka, która codzienne przechadzała się wąską uliczką przed oknami naszego domu, wyprowadzała ją z równowagi. Ja również, podobnie jak Kas, miałem wrażenie, że zagląda nam do środka, jednak mnie to bardziej śmieszyło, niż oburzało.

Kas mówiła: „Ta stara kurwa mnie ciotuje!” i naprawdę wierzyła, że staruszka ją przeklina.

Zrobiła się bardzo wulgarna. Co ciekawe, coś w tym było, bo ilekroć ta babinka przechodziła obok naszego domu, to działały się u nas jakieś dziwne rzeczy. A to Kas wypadł z ręki ulubiony kubek i się zbił, a to cienie do powiek wysmyknęły się na płytki i skruszyły, a to się potknęła i zahaczyła nową bluzkę o klamkę, a ta się przedarła. Przykładów było całe mnóstwo. Czasem rechotałem jak żaba, oczywiście tak, by ona tego nie widziała ani nie słyszała, bo jeszcze dostałbym zjebkę. Wczoraj, wychodząc spod prysznic, uderzyła się w mały palec od nogi, oczywiście wina była, jak to zaznaczyła, tej starej francy. A kiedy w żartach poinformowałem ją, że w tym momencie tędy nie szła, to ja zostałem tym winnym, bo źle jej życzę czy źle spojrzałem, kto wie.

– Może to ty mnie ciotujesz ze zgryzoty, jesteś jakiś zawistny – zwróciła się do mnie.

Gdy dziś z rana otarła zderzak, aż bałem się do niej podejść, spojrzeć, by usłyszeć, że mam coś w tych oczach złego. Te baby to są jednak głupie.

Ciotuję czy nie ciotuję, powtarzałem to najgłupsze słowo świata, śmiejąc się szyderczo sam do siebie. Dobrze mi było na tej wsi, bo ja i moje serce potrzebowaliśmy wyciszenia i spokoju, inaczej mogłoby pęknąć. Zresztą to nie był dla nikogo dobry czas, ale ja wierzyłem, że takiej miłości, jaka łączy mnie i moją niunię, nic nie pokona. Ciągle byłem dobrej myśli, pomimo że covid spowodował wiele finansowych strat, pojawił się też strach przed biedą, to jednak z uśmiechem patrzyłem w naszą przyszłość,

wierząc, że razem zawsze damy radę. Fakt, że teraz, kiedy byłem w niedyspozycji, to Kasandra pokazywała swoją siłę i ciągnęła ten wóz, oczywiście stale to podkreślając. Zamknięta w czterech ścianach, bardzo angażowała się w sprzedaż internetową, niemal całe dnie spędzała przed komputerem, a wieczorami jeszcze jeździła do firmy, sprzątała, wizualizowała sobie, jak to będzie, kiedy wszystko wróci do normy, a ludzie do normalnego trybu pracy. To, co się działo, to jakieś sci-fi, wszyscy byli na przymusowej kwarantannie, pozamykani w domach jak zwierzęta w zoo. Gdyby nie oszczędności, to nie wiem, jak byśmy żyli i skąd czerpali dochody. Nie pozostawało nam nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. Życie mnie doświadczyło, potrafiłem oddzielić dobro od zła, co niekoniecznie można było powiedzieć o Kas. Czekałem tylko, aż nerwy doprowadzą moją narzeczoną do ostateczności, bo teraz wydawała mi się pusta jak bęben i czasem to ja, a nie ta staruszka, ją przeklinałem, żeby się na przykład wysrać nie mogła. Zwłaszcza w momentach, kiedy bardzo chciało mi się czułości, a ona odwracała się dupą i mówiła: „Jestem wykończona, daj mi spokój, chcę spać”. Problemy kardiologiczne sprawiły, że nie mogłem brać jej jak dawniej siłą, i może o to jej się rozchodziło. Wczoraj było jeszcze gorzej, ledwo przejechałem palcami po jej cipce, a ona jak na mnie nie fuknęła, jak nie zdarła pościeli, zbierając się do wyjścia, jakby wstąpił w nią sam diabeł.

– Nie dotykaj mnie, jestem zmęczona!

Wręcz wyganiała mnie z łóżka. Byłem zszokowany i to ja wydarłem swoją kołdrę spod jej tyłka i wyszedłem do

innego pokoju. Oczywiście po minucie przepraszała, że to impuls, nerwy, że straciła kontrolę i bym nie czuł urazy, ale zdążyła już tyle wrednych słów powiedzieć, że sam się za nią wstydziłem. Mimo tych jej częstych wybuchów, trwaliśmy. Zbyt dużo nas łączyło, by coś mogło nas ot tak rozdzielić. Wierzyłem, że nasza miłość jest niezniszczalna.

Tak naprawdę nikt nie mógł przewidzieć, kiedy ta pandemia się skończy i czy w ogóle. Może to już koniec ludzkości, jakaś pieprzona apokalipsa? Osoby z chorobami współistniejącymi, jak choćby ja, musiały tym bardziej na siebie uważać. Dlatego pomysł wyprowadzki na wieś początkowo wydawał mi się taki dobry. Świeże powietrze, ćwierkające już od samego świtu ptaki, kwietne łąki, a i leśnej zwierzyny nie brakowało, przynajmniej już wiedziałem, jak z bliska wygląda wiewiórka. Poza tym nie trzeba było nosić maseczek i nadto dbać o higienę. Żał mi było narzeczonej, gdy namiętnie wmasowywała krem w drobne dłonie, bo płyny odkażające i rękawiczki zdążyły zniszczyć jej skórę, a ryjowa przeszkoda, jak nazywamy maseczki, spowodowała zapalenie mieszków włosowych, przez co Kas miała mnóstwo drobnych ropnych krostek wokół ust i nosa. Oczywiście jej zdaniem to urok, jak to ona mówiła, tej starej wiedźmy. Ryknąłem śmiechem na to wspomnienie i przeczesując włosy, ubrany w ulubione dresy, udałem się w stronę kuchni. Krostki miała, zanim się tutaj przenieśliśmy, ale ona wie lepiej.

W domku, który wynajmowaliśmy, było całkiem przytulnie, choć staromodnie, nie mieliśmy telewizora, tylko

radio i na szczęście internet, z tym że człowieka aż tak nie ciągnęło do mediów. Nie chciało się słyszeć tych dziennikarskich lamentów, po co się nakręcać, z dala od miasta ten wirus nie wydawał się aż tak niebezpieczny. Tutaj życie toczyło się własnym rytmem, wystarczyło wyjrzeć przez okno.

Przed wejściem do kuchni przejrzałem się jeszcze w wielkim, starym lustrze na korytarzu. Ostatnio nie lubiłem patrzeć na swoje odbicie, troszkę utylem i już nie czułem się tak atrakcyjnie. Poklepałem się dłonią po sporym brzuszku, faktycznie, Kas miała rację, mógłbym robić za dublera Kiepskiego. „Jeszcze wszystko wróci do normy”, pocieszałem się, idąc prosto do lodówki, by coś przekąsić. „Jeszcze będzie normalnie”.

Pomimo wczesnych godzin Kas zdążyła już wymknąć się do firmy. Zapytana ostatnio, dlaczego coraz częściej mnie unika i nawet nie chce zjeść ze mną śniadania, zaprzeczała, mówiąc, że cierpię na urojenia, bo covid zniszczył mi psychikę, ale to najwyraźniej z jej psychiką było coś nie tak. Nie można było normalnie z nią porozmawiać, pałała nienawiścią do wszystkiego. Gdy ostatnio musiała stosować czopki, bo miała zatwardzenie, doszedłem do wniosku, że nie będę jej już w duchu tak przeklinał ani złorzeczył. Może coś jest w tych słowach wypowiedzianych w złą godzinę. A zresztą nie chciałem dla niej źle, bywało, że sama przychodziła jako pierwsza i nawet mnie przytulała. Tylko ta granica, którą wytyczyła... „Teraz ja decyduję, a nie ty. Dziś mnie nie dotykaj, odejdz, jestem przed okresem”. Codziennie, przez cały miesiąc, była przed

okresem. Czasem wręcz słyszałem, jak to mówi, choć wcale nie wypowiadała tych słów. Miałem wrażenie, że o ten globalny kryzys zupełnie bezsensu obwinia wszystkich dookoła, coraz częściej wspominała o wyjeździe za granicę. Dla mnie recepta była prosta: dużo czułości, a mniej złości.

Nie podejmowałem tematu, może ze strachu przed prawdą, ale odnosiłem wrażenie, że Kasandra chce się rozstać, ale nie wie, jak mi to powiedzieć. Miałem nadzieję, że jej to minie, ja ją kochałem i na każdym kroku wybaczałem, trzy lata temu postawiłem wszystko na jedną kartę i nie było już odwrotu.

Stałem tak jeszcze chwilę, przeglądając się w lustrze i analizując ostatnie miesiące.

A może to wszystko działo się już przed wirusem, może nas związek już przedtem się psuł? Może czując już wcześniej zagrożenie, modliłem się o to, żeby coś jebło. I proszę... Nie czekałem zbyt długo, koronawirus nadszedł z wielkim hukiem. Na początku miałem nadzieję, że ten niewidoczny dla oczu morderca zbliży nas do siebie, ale jednak dzieliło nas wiele – może i różne tęsknoty, a może te tęsknoty to jedyne, co nas łączyło.

Jednak to, co nowe, nie zawsze jest złe, tutaj było co podziwiać i na co patrzeć. Szczególnie wieczorami, kiedy niebo na zachodzie przybierało wszelkie odcienie pomarańcza, czerwieni i pastelowych różów. Dlaczego Kas nie potrafiła tego dostrzec, docenić otaczającej nas przyrody, oddać się temu, przytulić, tylko wszystkiego się czepiała? Czy ludzie mogą się aż tak zmienić?

Włączyłem radio, dziennikarz znowu podawał informacje o tym, jakie ten wirus powoduje spustoszenia. Sporo osób już zmarło, głównie starsi ludzie, około siedemdziesiątki, mający choroby współistniejące, jak ja, problemy z sercem, cukrzycę i nowotwory. Ale wśród młodych ludzi też były już zgony, kobieta, trzydzieści dwa lata, umarła na covid zaraz po porodzie. Jej dziecko na szczęście urodziło się zdrowe, ale już jako półsierota. „Nie ma sensu jeszcze bardziej się pogrążyć”, pomyślałem, wyłączając odbiornik. Kiedy otworzyłem drzwi lodówki, chwyciłem trzystugramową czekoladę i z każdym kęsem humor poprawiał mi się coraz bardziej.

Spis treści

Prolog	7
Wojtek	13
Kasandra	21
Wojtek	32
Kasandra	37
Rok później Wojtek	41
Kasandra	52
Dzień później Wojtek	66
Kasandra	76
Wojtek	88
Kasandra	95
Wojtek	111
Kasandra	123
Wojtek	136
Kasandra	149
Wojtek	164
Kasandra	181
Wojtek	190
Kasandra	201
Wojtek	212
Kasandra	221
Trzy miesiące później Wojtek	233
Kasandra	249
Wojtek	256
Kasandra	260
Epilog	263